

JAN SOBCZYŃSKI, KRONIKA KOŚCIELNA KALISZA. T. 1. POD RED. AGATY WALCZAK-NIEWIADOMSKIEJ I KRZYSZTOFA WALCZAKA. KALISZ; KALISKIE TOWARZYSTWO PRZYJACIÓŁ NAUK, 2022.

DOI: 10.4467/26578646ZKNT.23.012.18894

KSIEDZA SOBCZYŃSKIEGO
KRONIKA KOŚCIELNA (I HISTORYCZNA) KALISZA.
NOTATKI Z LEKTURY

„Kronikę kościelną Kalisza” księdza Jana Sobczyńskiego, wydaną przez Kaliskie Towarzystwo Przyjaciół Nauk*, zaliczyć można do wydarzeń wydawniczych i to z kilku powodów. Przez ponad sto lat przebywała w rękopisie, znana tylko nielicznym, cytowana sporadycznie, owiana była legendą rzetelnego, obszernego źródła do dziejów miasta. Trzeba było inicjatywy, a bardziej jeszcze uporu złączonego z wysiłkiem edytorskim dwojga osób – Agaty Walczak-Niewiadomskiej i Krzysztofa Walczaka – którzy opracowali naukowo rękopis i przygotowali go do druku. Można wyprzedzić końcową ocenę i już teraz powiedzieć, że efekt wynagrodził włożoną pracę ponad zwykłą miarę. Przyjrzyjmy się temu dziełu.

1.

Piśmiennictwo polskie od swoich początków obfituje w dzieła kronikarskie, pamiętniki, wspomnienia, dzienniki, a więc formy quasi-literackie, towarzyszące głównemu nurtowi literatury pięknej. Jak świetnie opisał to zjawisko Julian Krzyżanowski w fundamentalnej „Historii literatury polskiej”, podwaliny pod rozwój języka polskiego i literatury dały właśnie dzieła kronikarzy, od łacińskich jeszcze zaczynając: kroniki Galla Anonima, późniejszego dzieła Wincentego Kadłubka, w którym znajdziemy baśniowy charakter polskich dziejów, istną księgę legend, przez Janka z Czarnkowa aż do największego z nich Jana Długosza z jego „Rocznikami, czyli kronikami sławnego Królestwa Polskiego”. U profesora Krzyżanowskiego znajdziemy uwagę, że pierwszymi autorami na polskim gruncie byli duchowni, a ich prace wyrastały z potrzeb państwa i kościoła, co wypełniało treść ich kronik i odcisnęło trwałe piętno na polskim piśmiennictwie, które właśnie słowo będące przekazem z pierwszej ręki wysoce sobie ceniło.

Późniejsze wieki dały temu wyraz w postaci publicystyki religijnej i politycznej, do której zaliczyć powinniśmy liczne kazania, w tym „Kazania sejmowe” Piotra Skargi, kolejne kroniki i opisy dziejów powszechnych, żywoty i zwierciadła ludzi z Mikołaja Reja „Żywotem człowieka poczciwego” na czele, oraz oczywiście pamiętniki. Płodny pod tym względem okazał się niespokojny, a pod wieloma względami burzliwy i dramatyczny wręcz, wiek XVII. Przyniósł on falę literatury pamiętnikarskiej z pól bitewnych i kampanii wojennych. Już nie tylko duchowni, ale osobnicy różnych autoramentów: wojskowi, dworzanie, szlachta, weterani wojen kozackich, szwedzkich, moskiewskich byli w większości autorami memuarów, a wśród nich zawadiaka i awanturnik Jan Chryzostom Pasek. Pamiętniki Paska są arcydziełem językowym i literackim tamtego stulecia, z których czerpał pełnymi garściami dwieście lat później Henryk Sienkiewicz, gdy pisał

trylogię, największą bodaj opowieść historyczną, jaka wyszła spod pióra Polaka. Czy Pasek świadomie natężył pióro, by swoje opowieści i relacje ubrać w kunsztowne stroje języka? Chyba nie, przeważał żywioł, niekontrolowana siła, która kazała mu tak a nie inaczej, stosownie do dynamiki przygód i przeżyć, czerpać z zasobów mowy, którymi dysponował.

Po kolejnych stu latach wyszedł spod pióra Jędrzeja Kitowicza „Opis obyczajów i zwyczajów za panowania Augusta III”, w którym anegdota goni facecję, a plastyka obrazów szlachty w życiu codziennym i świątecznym zniewala czytelnika. Początek wieku XIX wprowadził na scenę postaci, które równie sprawnie jak szablą posługiwały się piórem po latach spędzonych w siodle w obronie umierającej ojczyzny. „Trzy po trzy”, gawędziarskie zapiski Aleksandra Fredry, czy „Pamiętki Soplicy” Henryka Rzewuskiego są przykładem, jak forma wspomnieniowa znalazła prawdziwie polską, endemiczną formę gawędy.

Największą popularność i długi żywot zdobywały te wytwory, które pisane były językiem żywym, ekspresyjnym, ujętym w oryginalny styl narracyjny, zawierające barwne opisy, ale przywiązane do szczegółu. W dużym stopniu decydowało to o szczerości wypowiedzi, nad którą nie trzymał straży wewnętrzny cenzor czy może wirtualny czytelnik, przed którym autor musiałby tłumaczyć się ze swych słów. Spełniały warunek szczerości te dzieła pisarskie, które pisane były dla siebie, *pro domo sua*, bez zamiaru publikacji, przynajmniej za życia autora.

Tego rodzaju myśli i konotacje przychodziły mi do głowy, gdy wziąłem do ręki kronikę księdza Sobczyńskiego i coraz głębiej zatapiałem się w lekturze. Rzecz jasna, chodziło głównie o zestawienie gatunkowe jego diariusza, umiejscowienie go w szeregu historycznym, znalezienie antenatów, a w żadnym razie nie o wartościowanie. W tym przypadku zasada *toutes proportions gardées*, zachowania wszelkich proporcji, zdała egzamin w porównywaniu kaliskiej kroniki z innymi historycznymi tytułami, które wymienilem wyżej. Warto wszakże dodać, że „Kronika kościelna” jest jedynym tego rodzaju dziełem na gruncie kaliskim, nie ma w każdym razie odpowiednika gatunkowego.

Jej powstanie trzeba związać z potrzebą autora (bardziej wewnętrzną niż formalną, np. urzędową) dokumentowania życia parafialnego. Znajdziemy w niej całą paletę wydarzeń kościelnych: rekolekcje, procesje, obchody świąt, rezurekcje, wotywa miesięczne, działalność bractw, pielgrzymowanie, rozporządzenia i okólniki biskupie, noty dotyczące kontaktów z władzami miasta i guberni, a także ze znaczącymi i wpływowymi przedstawicielami środowisk opiniotwórczych oraz wiele komentarzy i uwag. Trzeba pamiętać, że życie kościoła przed stu i więcej laty było bogatsze niż dzisiaj, nie ograniczało się li tylko do liturgii, lecz wielu różnorodnych form kultu mających charakter ludowy, żeby przywołać choćby popularne, tradycyjne odpusty. Parafia w istocie znaczyła wówczas wspólnotę, a kapłani byli jej liderami.

A więc ma „Kronika” postać oficjalną, *stricte* kościelną, dla historyków Kościoła bardzo istotną. Lecz spoza formy tytułarnej wyłania się człowiek, który nie chce i nie może poprzestać na swojej roli proboszcza, człowiek-obszernik życia społecznego i politycznego, człowiek, który chce, by jego opinie były zauważane i wysłuchiwane przez otoczenie. Mało tego, człowiek ten rości sobie prawo ingerowania w życie miasta, dokonywania zmian w jego funkcjonowaniu, dokonywania sądu moralnego nad mieszkańcami, nie tylko nad owczarnią mu powierzoną, lecz nad wszystkimi, którzy żyją w tym mieście,

niezależnie od ich pozycji, rangi czy roli społecznej. I tu daje znać o sobie temperament i pióro księdza Sobczyńskiego. Co i rusz budzi się w nim potrzeba wyrażenia swojego zdania, opisanie zjawisk nagannych, krytykowania tych, których nie lubi, nie ceni i uważa za niegodziwców, czyli – mówiąc prościej – świerzbi go ręka, by pióro zamienić na różgę i zaprowadzić właściwe porządki. W takich przypadkach ksiądz Sobczyński bywa literacko – i nie tylko literacko – nieoceniony.

2.

Ksiądz Sobczyński obejmuje parafię św. Mikołaja w Kaliszu z pierwszych dniach 1901 roku, a więc z początkiem nowego milenium. Zrazu nie zauważa, a może bagatelizuje fakt, że ludzkość wkroczyła w nowe tysiąclecie, i że jego nominacja stanowi szczęśliwą koincydencję z tym doniosłym wydarzeniem, które jest świętem dla całego chrześcijaństwa. Obchody milenijne, niezwykle doniosłe (*pięćdziesiąt sześć chorągwi powiewało na przedzie procesji – jak zauważa*), zapamiętał proboszcz głównie przez pryzmat masowych spowiedzi: *Spowiadaliśmy codziennie od 7. rano do 1 w południe, a nie raz i po południu, mimo to nie zawsze mogliśmy podolać pracy utrudnionej i przez to, że niejeden spowiadał się z całego życia, a wielu poprawiało świątokradzkie spowiedzi. Pod tym względem jubileusz nieobliczone przyniósł korzyści.*

Powołanie księdza Sobczyńskiego do nowej roli z pewnością było głęboko przemyślane przez władze diecezjalne, tym bardziej że kościół św. Mikołaja miał w Kaliszu swoje potrzeby wynikające z nienajlepszego stanu materialnego, w jakim się znajdował. Niezbędny był przede wszystkim dobry, sumienny gospodarz dla świątyni i parafii, która w mieście odgrywała od wieków ogromną rolę. Jednakże sam nominat nie ukrywa zdziwienia, że to jemu przypadła ta rola, że biskup nie sięgnął po kogoś z kapituły kolegiaty kaliskiej, „dlaczego, nie wiadomo; to tylko na pewno, że musiały być ku temu ważne powody” – stwierdza w pierwszym wpisie swojej kroniki. Zastanawiają owe „ważne powody” oraz „racje, których tu obecnie przytoczyć nie mogę”, że ceniony ksiądz profesor wrocławskiego seminarium duchownego zgodził się jednak przyjąć stanowisko proboszcza i oddać się pracy na ugorze, bo tak zrazu widział swoją powinność. Czy była to jedyna misja, jaką go obdarzono? Może w ocenie biskupa wrocławsko-kaliskiego stan moralno-religijny Kalisza wymagał obecności silnego, pełnego wiary człowieka, rzecznika Kościoła, pozbawionego jakichkolwiek wątpliwości i wahań? Czy powierzono księdzu Sobczyńskiego – obok tej oficjalnej – misję specjalną? Miał zostać kapłanem na trudne czasy?

Tego oczywiście nie wiemy, a ksiądz Sobczyński na kartach kroniki nie wyjawia wszystkich motywów swojego powołania. Gdy na dobre zainstalował się już w „proboszczowskim mieszkaniu”, świeżo odrestaurowanym, choć – jak kąśliwie zauważył, a przy okazji ujawnił jedną ze cech swojego charakteru, czyli małostkowość – „cała ta robota jednak niewiele warta, bo rzemieślnicy pozostawieni samym sobie, lada jako wywiązali się z zadania”, przeprowadził solenną inwentaryzację stanu materialnego kościoła i jego potrzeb. Ale w równym stopniu, a pod wieloma względami bardziej nawet zapalczywym, dokonał społecznego przeglądu miasta, wedle dzisiejszych pojęć – socjologicznego. A ponieważ posługiwał się ostrym piórem, pędzłami różnej grubości i farbami z wielokolorowej palety, powstał obraz miasta mieniący się niepowtarzalnymi barwami, niekoniernie jasnymi.

Zaczął od wystawienia świadectwa moralnego swojej parafii, czyli *de facto*, z uwagi na jej rozmiar, całemu miastu. Dostrzegł wiele symptomów zepsucia, którego

Pierwszym i głównym źródłem jest teatr stały, którego cały personel wylany (sic!) jest na rozpustę. Sztuk poważnych wystawiają bardzo mało, bo publiczność, z małym tylko wyjątkiem, nie smakuje w tego rodzaju stawie. Po większej części grają operetki. Podkaszana muza ma tu najwięcej zwolenników. Wszelkiego stanu i wieku jednostki uczęszczają na nie tłumnie. Młodzież ze sfery inteligentnej i mieszczańskiej po przedstawieniu szuka różnych kryjówek i tam dają folgę rozbujanej wyobraźni i podnieconym zmysłom. Pano wie, nawet starsi, nierzadko wracają do domów swoich z aktorkami.

Tak, tak, teatr stoi na pierwszym miejscu zepsucia. Wylał się spod pióra księdza kanonika potok pretensji, żalu i złości z okazji wystawienia jasełek w teatrze. Gubernator Nowosilcow nie pozwolił na dalsze przedstawienia (odbyły się zaledwie dwa), motywując swój zakaz tym, że do teatru ciśnie się za wiele plebsu i niszczy wnętrze teatru. Tego było już dość proboszczowi:

Sądzę, że do teatru każdy ma prawo iść, byleby tylko miał bilet. Przedstawienia popołudniowe są właśnie przeznaczone dla klas niższych i rzeczywiście na operetki i inne niemoralne sztuki, odgrywane po południu cisną się czeladnicy, uczniowie od rzemieślników, służba i każdy kto chce, a nikt protestu przeciwko temu nie zakładał i nikt nie mówił, że teatr się niszczy. Dlaczegoż by jasełka, jako przedstawienie czysto religijne, umoralniające i podnoszące ducha pod względem religijnym miało meblom teatralnym szkodzić? Dziwna rzecz! Świństwa, błoto, kał nie brudzą i nie wycierają mebli, a czysta, jak kryształ, woda, tchnąca niebiańską wonią religii, uważana jest za środek niszczący.

Na drugim miejscu degrengolady stoją „fabryki, zwłaszcza żydowskie. Klątwy, bluźnierstwa, bezecne rozmowy są tu na porządku dziennym. Nic więc dziwnego, że wiele dziewcząt traci swą cnotę”. Od rozmów czy bluźnierstw? – chciałoby się spytać. Nie tylko, odpowiada sługa ołtarza, bo „rzadko która dziewczyna wraca niewinną” z pracy za granicą, „u lutrów”, gdzie trunki są tanie, prowadzą do pijaństwa, a „od pijaństwa tylko jeden krok do rozpusty”. Tak więc wychodźstwo sezonowe, bliskość granicy i przemytnictwo to trzecie źródło zepsucia. No i na koniec domy publiczne i hotele. W tych pierwszych nieregularnie oddają się miejscowi, w hotelach zaś przyjezdni.

Diagnoza księdza Sobczyńskiego jest przytłaczająca: to miasto chyli się ku upadkowi. Ale jakby tego było mało, wielebny stawia inteligencji kaliskiej, będącej niegdyś wzorem do naśladowania, zarzut sprzeniewierzenia się tradycyjnym wartościom, a nawet odstępstwa od wiary, czyli częściowej i całkowitej apostazji, co ujemnie wpływa na stan religijności w społeczeństwie. Czy może być inaczej, skoro

znaczna część panów i pań nie uczęszcza do kościoła, nie zachowuje postów, służbie nie pozwala bywać na Mszy św. Nie brak takich, którzy naśmiewają się z religii, wyszydają obrządku kościelne i pragnęliby zaprowadzić moralność niezależną. Wierność małżeńska należy u nich do mrzonek. Do spowiedzi nie przychodzą całe lata.

Mimo rozczarowania, jakiego doznał w pierwszych miesiącach obecności w mieście, proboszcz nie ustawał w próbach dotarcia do kręgów inteligentnych. W 1904 roku postanowił zorganizować podwójne rekolekcje: dla ogółu parafian i drugie – wyłącznie dla inteligencji. Dla pierwszej grupy przeznaczone były nauki i konferencje o pijaństwie, kradzieży i „wytrwałości w dobrym”. Gorzej, niestety, a właściwie bardzo źle wypadły rekolekcje dla grupy drugiej. Była to właściwie katastrofa, bowiem „*Okazało się, że z inteligencji przyszło tylko kilka pań, z panów żaden; reszta szwaczki i tym podobne inteligentki*”. Ten ostatni passus, zgryźliwy ponad miarę, wyrwał się chyba autorowi mimowolnie i świadczył raczej o sarkastycznym usposobieniu i chwilowym braku kontroli nad słowami.

Rozgoryczenie przyniosła msza wotywna (w intencji) zamówiona przez Towarzystwo Kredytowe z okazji wyboru nowych władz. To, co miało wpłynąć na prestiż kościoła, zamieniło się we frustrację wielebnego i ruinę jego szlachetnych intencji. Poszło, jak w takich przypadkach bywa, o pieniądze, niedotrzymanie słowa, a nawet „*tak, jak oni zrobili, mógł i pierwszy lepszy złodziej zrobić*”. Na wybory przyjechało dwieście osób, a na mszy było zaledwie dwudziestu członków, przy czym

dodać należy, że zachowanie się tych naszych panów obywateli w czasie nabożeństwa było nagminne bardzo. Z wyjątkiem dwóch czy trzech, inni wszyscy siedzieli jak w knajpie. Wieczorem wyprawiali fetę w hotelu naprzeciwko, były tańce, pijatyka i co więcej. Setki rubli poszły na marne, ale majątki ich idą także na marne.

Nie tego można się było spodziewać po przedstawicielach elity miasta. A co z tymi, którzy z wolnej i nieprzymuszonej woli stoją w bratnim szeregu umacniania wiary razem ze swoim pasterzem? Cóż, istnieją przy parafii tylko dwa bractwa: Śmierci i Modlitwy, inaczej, bo łagodniej zwane Bractwem Duszy Zmarłych oraz Bractwo Szkaplerza Świętego, które w przeszłości bardzo aktywne, teraz straciły żywotność, co jest widocznym znakiem osłabienia wiary w ludziach. Można załamywać ręce nad bractwami, ale od czego są cechy rzemieślnicze, które zwyczajowo mają w świątyni ołtarze, nad którymi sprawują pieczę? Oto jakie świadectwo wystawił im proboszcz:

Do cechu murarskiego należy przeszło dwieście osób. (...) Pod względem moralnym przedstawiają oni nader smutny obraz. Większa ich część oddaje się pijaństwu. Latem pracują i dobrze zarabiają, w zimie siedzą beczynnie; mając wolny czas i pieniądze, hulają nie dbając ani o żonę, ani o dzieci, ani o przyszłość swoją. (...) Wielu z nich nie uczęszcza do spowiedzi św. Toteż w tym roku rozdaliśmy im kartki do spowiedzi z pouczeniem, aby każdy kartkę, poświadczoną przez spowiednika, przedstawił mi do skontrolowania. Kto z nich tego nie uczyni, będzie miał odmówione na pogrzeb chorągwie i świece. Może ten środek wpłynie na poprawę obyczajów. (...)

W Kaliszu są dwa cechy szewskie, jeden majstrów, drugi czeladników. (...) W ogóle szewcy tutaj nie cieszą się dobrą opinią, zwłaszcza czeladnicy, którzy po większej części są pijakami i awanturnikami. (...)

Cech rzeźnicki uchodzi także za pijacki. Są pomiędzy nimi i tacy, którzy oddają się nierządowi (tak!). Prawie jedyną perłą jest pan Stanisław Herbich, właściciel kamienicy w Starym Rynku i masarni. Jest to człowiek z gruntu pobożny i uczciwy, oddany całą duszą Kościołowi. W cechu rzeźnickim nie gra on żadnej roli...

Możemy dochodzić, na czym polegał nierząd wśród rzeźników i jakim sposobem nasz kapłan dotarł do tej informacji, lecz najpewniej będzie to trud daremny. Niemniej taką supozycję znajdujemy w powyższej notatce.

Sen z oczu wielebnemu spędza plaga pijaństwa w mieście; jak zauważa, pijaków

jest tu w Kaliszu bardzo wielu i to pierwszorzędnym monopolistów. W soboty po robocie roi się na bocznych ulicach i zaułkach od pijanych robotników. Dotąd nie było na nich żadnego sposobu, bo jedni z nich nie chodzą do kościoła, więc i nauk nie słuchają, a ci, którzy uczęszczają, o poprawie nie myślą.

Szczęśliwie jednak spostrzega problem i jego skalę i usiłuje go rozwiązać, głównie przez edukację i perswazję. Służą temu odczyty organizowane przez parafię św. Mikołaj, ale także z innymi partnerami religijnymi i społecznymi. Jeden z nich w Towarzystwie Higienicznym zrobił kolosalne wrażenie na słuchaczach, bowiem „w obrazach świetlnych pokazywał, jak wyglądają pojedyncze części wnętrza człowieka niepijącego trunków i u pijaka”. Najwięcej zadowolenia okazywały, jak zwykle w takich sytuacjach, żony pijaków. Troski i zmartwienia to codzienny chleb księży parafialnych. Jak radzić sobie z nimi, jak zapobiegać występkom, które rodzą się choćby na kamieniu, nie wiadomo z jakiego ziarna? Wystarczy spojrzeć na dzieci, te najmłodsze, które mają przystąpić do pierwszej spowiedzi i komunii. Zapisuje swoje myśli i wrażenia ksiądz proboszcz nie szczędząc cierpkich słów:

W tym roku tak się urządziliśmy, że ks. Lniski przygotowywał do pierwszej spowiedzi chłopców, a ks. Koczyński dziewczęta. Wszystkie razem dzieci niepodobna jest uczyć, bo są to dziczki rozpuszczone, niesforne, nierozwinięte, zepsute, nie umiejące nic uszanować. Rodzice wychowują jak najgorzej swoje dzieci, pozwalają im na wszystko, nie nauczą ich niczego. Nie wiadomo potem, co począc z tą zgrają potworków duchowych, które w kościele zachowują się gorzej niż na ulicy, krzyczą, hałasują, biją się i nie uważają. Ksiądz jest wobec nich bezsilny nieraz, bo, gdy słusznie ukarze, zjawi się matka i zwymyśla kapłana, a przy tym odgraża się, że jeśli dziecko nie będzie przyjęte do spowiedzi, ona i tak na swoim postawi i dziecko doprowadzi do konfesjonalu. I rzeczywiście urządzają się w ten sposób, że dziecku każą iść do spowiedzi i powiedzieć spowiednikowi, że na Wielkanoc było u spowiedzi. W ten sposób narażają dziecko na świętokradztwo.

Zdarzają się wszelako wydarzenia, które pokazują inną twarz naszego bohatera. Taką okolicznością szczególną była letnia powódź w mieście w 1903 roku. Autor poświęcił jej przebiegowi i skutkom obszerny wpis, w którym ujawnił i wrażliwość wobec ludzi poszkodowanych przez wysoką wodę, ale i prawdziwy talent literacki. Powodzie często nawiedzały Kalisz, w dużym stopniu mieszkańcy traktowali jej coś oczywistego, jednakże reportaży, jaki wyszedł spod pióra wielebnego zasługuje na uwagę jako rzadki mimo wszystko dokułaczny i naocznego świadka.

Jeszcze większe zdolności pisarskie wyjawiał ksiądz Sobczyński w sprawozdaniu ze „śledztwa”, przeprowadzonego na zlecenie ordynariusza wrocławsko-kaliszkiego w Godziszach po karczemnych zajściach w tamtejszej parafii. Czyta się to sprawozdanie jak najlepszy tekst z polskiej szkoły reportażu. Oto w podkaliskiej wsi wybuchł konflikt między proboszczem a wikarym, który

od pewnego czasu powziął nienawiść do gospodyni ks. proboszcza, że plotki na niego robiła we wsi, posądzając go o bliższą znajomość z jej siostrzenicą i ze służącą, do ks. proboszcza rościł pretensje, że go źle karmi, zwłaszcza w dni postne, piątki i soboty. (...) Kiedy ks. proboszcz skończywszy kazanie, poszedł do zakrystii ubierać się do sumy, ks. wikary wstał i odezwał się do ludzi: „Wczoraj kazania nie miałem, bo byłem głodny i słaby, jak wam już mówiłem; dzisiaj siedzę tu jak malowany, bo ks. proboszcz nie pozwolił mi mieć ani kazania, ani sumy. Na plebanii jest pewna osoba, która tam być nie powinna; ks. proboszcz jest przez nią rządzony i jej słucha, nie umie być mężem (to znaczy, nie umie się otrząsnąć)”. (...) Wtem tłum chłopów wcisnął się do sieni i do kuchni. Siostrzenica gospodyni zamknęła się w swoim pokoiku a ks. proboszcz w kancelarii. Rozhukane chłopstwo szukało gospodyni; gdy siostrzenica nie chciała otworzyć, wylamali drzwi, które się roztrzaskały na kawałki. Jeden z chłopów paniąkę tę wypchnął do kuchni i tam ją pięć razy uderzył pięścią; obroniły ją kobiety. Z pokoju gospodyni, gdzie na łóżka powchodzili, dobijali się do kancelarii, a gdy ks. proboszcz nie otwierał drzwi i te wylamali. Ks. proboszcz zabarykadował się w sypialnym pokoju, a gdy i tam wybili drzwi, zamknął się w sali. Widząc, że i te ostatnie drzwi trzeszczą pod uderzeniami, wziął portret cesarski, otworzył drzwi do sieni i zasłaniając się portretem, zaczął przemawiać uspokajająco do ludzi, krzyczących i hałasujących. (...) Heca ta trwała od 1 do 3 godziny. Dopiero gdy o godzinie 4 ksiądz proboszcz z siostrzenicą gospodyni i wachmistrzem odjechał do Kalisza, tłum bardzo powoli rozszedł się do domów.

To tylko niektóre z rejestru zdarzeń odnotowanych przez kanonika Sobczyńskiego. Kronika zawiera dalece bogatszą kronikę różnych wydarzeń, obyczajowych i społecznych, niż zdołałem w tym miejscu przedstawić, równie pysznie i z polotem zanotowane. Mówiąc prosto, jest to dobra literatura, która doskonale sobie radzi z opisem rzeczywistości.

3.

Mija kilka lat misji kapłańskiej księdza Sobczyńskiego w Kaliszu. Kronika staje się swoistym jego *porte-parole*. To jej powierza swoje myśli, szuka uzasadnienia dla podjętych decyzji i postępowania, opisuje zdarzenia, których był świadkiem lub – co ważniejsze – uczestnikiem. Tu wreszcie daje upust swojemu temperamentowi funkcjonariusza kościelnego, którym nie targają jakiegokolwiek wątpliwości moralne czy światopoglądowe. Należy do kategorii ludzi niezłomnych, Katonów. Jeśli napotyka kogoś, kto staje mu na drodze, rozprawia się z nim bez większych skrupułów, nie szczędi przy tym słów gorzkich i mocnych w ocenie; z dużą wprawą posługuje się ironią, sarkazmem, ale i złośliwościami. Trafiają się także bezceremonialne inwektywy i szyderstwa.

Rzecz jasna, dla dzisiejszego czytelnika ta część Kroniki, w której zajmuje się życiem religijnym jest bardzo interesująca, miejscami pasjonująca, bowiem dotyczy stosunków wzajemnych między kaliskimi kościołami i dość liczną społecznością kapłańską w mieście i sąsiednich parafiach. Przypomina to trochę zaglądnienie do wnętrza domu przez dziurkę od klucza, by poznać skrywane sekrety domowników. Trzeba oddać sprawiedliwość księdzu Sobczyńskiego, że nie jest stronniczy w ocenach bliźnich, przeciwnie, stara się – mimo swoich poglądów i preferencji – być obiektywnym i bezstronnym w spojrzeniu na to, co dzieje się wśród braci kapłanów. A dzieje się nie najlepiej. Otóż dostrzega wśród nich objawy moralnego rozprężenia, a nawet zepsucia, hołdowanie własnym przyjemnościom wbrew cnotom kapłańskim, czyli skromności i pokorze.

Dlatego z ogromnym zadowoleniem przyjmuje okólnik biskupi, w którym zawarte były zalecenia dla duchowieństwa. To, że biskup mówił w nim o konieczności pielęgnowania cnoty czystości i umiarkowania, wydaje się oczywiste, ale już to, że należy unikać gier hazardowych (!), teatru, polowań, targów i jarmarków, a także honorowych godności i urzędów publicznych zdaje się przesadzone ponad miarę. Jeszcze dalej idzie inne rozporządzenie biskupa, tym razem dotyczące odpustów, powszechnie odprawianych w parafiach. Dla chrześcijanina celem wiary jest zbawienie wieczne, a niezbędnym warunkiem do tego jest ostateczne zgładzenie win za grzechy, także za te odpuszczone na spowiedzi. Odpust parafialny, związany zwykle z kultem patrona, był dawniej prawdziwym świętem dla wiernych. Odpusty kojarzyły się wiernym z zewnętrzną otoczką, na którą składały się suma odpustowa, uroczysty wystrój kościoła, procesja, a także towarzyszące im festyny, kramy z zabawkami i słodyczami itp. Skąd wziął się problem odpustowy aż taki, że wymagał interwencji biskupa? Najkrócej rzecz ujmując, z postawy i zachowania niektórych księży, którzy niezbyt sumiennie przykładali się do obowiązków konfesyjnych, co mogło być traktowane przez wiernych jako przejaw lekceważenia, a nawet mogło budzić wśród nich zgorszenie. I ten dokument miał stanowić niezbędne wsparcie dla działań naprawczych, a do tych ksiądz Sobczyński stawał w pierwszym szeregu. Kapłani, w myśl rozporządzenia biskupiego

Są obowiązani nie tylko obecnymi być na sumie, lecz także słuchać spowiedzi św. od wczesnego ranka nie tracąc czasu na niepotrzebne pogawędki i jedzenie, podczas gdy lud przy konfesjonalach wyczekuje ich przybycia. (...) Obiad winien być skromny, picie wina umiarkowane; świeckich nie należy prosić do obiadu. Zdarza się bowiem, że kapłani, po wypiciu kilku kieliszków rozgrzani, nie zwracają uwagi na mowę swoją i często wobec świeckich narażają się na niesławę i ujawniają swe wady. Zdrów, które przystają raczej ucztom aniżeli skromnemu posiłkowi, nie należy wznosić. Absolutnie nie wolno grać w karty na odpustach, ponieważ odpust nie jest czasem rozrywki i zabawy.

Z tych zaleceń wyłania się dość kompromitujący stan kleru, nad którym można ubolewać, lecz przede wszystkim stanowczo walczyć ze wszystkimi zjawiskami, które szkodzą sumiennemu wypełnianiu obowiązków kościelnych. Największy niepokój – zdaniem proboszcza – budzi wpływ „nowoczesnej młodzieży świeckiej” na młode duchowieństwo, które zainfekowane tymi modnymi poglądami, cechuje

zarozumiałość, buta, brak subordynacji, lekceważenie starszych, w ogóle władzy duchowej. Każde rozporządzenie biskupie podlega surowej krytyce, złośliwym uwagom. Każdemu zdaje się, że polecenia biskupie godzą w wolność osobistą, że są uzurpacją, i biskup nie ma prawa krępować duchowieństwa i ukracać swawoli. Stąd też wiele rozporządzeń nie jest stosowanych w praktyce i stan ten trwać będzie dopóty, dopóki nie będzie przez władzę przeprowadzona egzekucja rozporządzeń. Smutne to wszystko, ale prawdziwe.

Smutne dopiero miało nadejść, gdy w mury miasta wejdzie z hukiem wielka polityka, o czym będzie mowa w dalszej części. Tymczasem nie wyczuwa on symptomów nadchodzących zmian. W niewielkim stopniu interesuje go postęp ekonomiczny i rozwój

miasta, nie odnotowuje choćby ogromnej zmiany, jaka dokonała się w mieście z chwilą otwarcia linii kolejowej Warszawa – Kalisz, co oznaczało połączenie z Królestwem Polskiego i imperium rosyjskiego z krajami zachodniej Europy. Zamyka oczy na zmiany zachodzące wokół, reprezentuje postawę przeciwstawiania się „tyraniu postępu” we wszystkich niemal dziedzinach życia społecznego. A przecież był to czas, gdy Rosja nie tylko niwelowała swoje zapóźnienie cywilizacyjne, to jeszcze swoją dynamiką rozwoju przewyższała wszystkie czołowe kraje zachodnie. To z tej koniunktury korzystała Łódź, Zagłębie Dąbrowskie, Warszawa, korzystał też i Kalisz po wybudowaniu linii kolejowej. To był czas transformacji gospodarczej, cywilizacyjnej i kulturowej. I w tym nurcie zmian usiłowali znaleźć dla Kalisza stosowne miejsce jego obywatele. Wyrażali swoje poglądy w różny sposób i w różnych miejscach, choćby w formie artykułów prasowych. Ale nie znajdziemy na kartach Kroniki ani śladu opinii publicznej, ani nawet odprysków ówczesnych dyskusji.

Pasterz od św. Mikołaja poświęcał się tylko tym kwestiom i zagadnieniom, które były ważne dla niego i dla parafii, czyli remontom, malowaniom, naprawom oraz – przede wszystkim – modernizacji, rozbudowie i wyposażaniu kościoła. I stanowi kasy parafialnej. Pod tym względem był zasadniczy i nieustępliwy, a o swoje interesy dbał jak rzadko kto. Ten właśnie aspekt był źródłem wielu konfliktów proboszcza z otoczeniem świeckim i środowiskiem katolickim.

Najciekawszy był konflikt z Dozorem kościelnym, który trwał blisko dwa lata, miał wiele wątków i absorbował czołowe postaci świata politycznego, administracyjnego i obywatelskiego miasta. Dozór kościelny był instytucją prawa, którego zadaniem była opieka nad stanem materialnym kościoła, zabudowań parafialnych i cmentarza. W Kaliszu Dozór był wspólny dla obu parafii, tj. św. Mikołaja i kolegiaty, a w jego skład wchodził prominentni obywatele, z prezydentem miasta na czele, który jednocześnie był prezesem tego gremium. Proboszcz Sobczyński szybko i odkrywczos doszedł do wniosku, że *„Dozorem kościelnym jest właściwie sam tylko prezydent”*. Pozostali członkowie robili wszystko, by nie uczestniczyć w jego pracach.

Nie było lepszego pretekstu do wywołania konfliktu jak to, że do parafii św. Mikołaja należy trzy czwarte miasta i wieś Majków, do kolegiaty zaś jedna czwarta i kilka wsi. Głównym więc, a może i wyłącznym źródłem dochodów kasy pokładnej (pokładne – opłaty za pochowanie zwłok na cmentarzu) są opłaty, które zbiera św. Mikołaj. A który kościół dostaje największe wsparcie? Przecież nie św. Mikołaj! Kto odpowiada za krzywdzące i z gruntu niesprawiedliwe obdarowywanie kolegiaty? Oczywiście prezydent Maksymilian Opieliński, *„człowiek w gruncie dobry – jak napisał we wspomnieniu pośmiertnym autor Kroniki – ale nie posiadając lepszego wychowania i wykształcenia naukowego, nie dorósł do wysokości stanowiska swego”*.

Jego następcą został Leonard Betticher, *„zapowiadający się całkiem niezłe”*, wykształcony i grzeczny. Minęły raptem dwa miesiące, gdy prezydent Betticher okazał się *„zaciekłym formalistą i skrajnym biurokratą”*, który *„należy do rzędu tych ludzi, którzy chcą pokazać, że mają władzę i że mogą przeszkadzać, ale przeszkadzać potrafi byle hołysz, na to nie potrzeba być urzędnikiem”*. To oczywiście nie wróżyło najlepiej na przyszłość, bowiem prezydent był nie tylko „zaciekłym formalistą”, ale postanowił przejąć wszechwładną kontrolę nad wszystkim, co dzieje się w świątyniach. Zażądał od proboszczów planów renowacji i remontów obiektów oraz szczegółowych rozliczeń, co

doprowadziło do wstrzymania już rozpoczętych prac malarskich i innych w kościele św. Mikołaja. Spór się zaognił, obie parafie złożyły więc u biskupa włocławsko-kaliskiego protest przeciwko praktykom Dozoru, biskup wniósł petycję do gubernatora Nowosiłcowa, a ten zwrócił się do generał-gubernatora warszawskiego. Skala konfliktu przekroczyła granice guberni kaliskiej. Proboszczowi już nie wystarczyło przekręcanie nazwiska prezydenta, co było, bądźmy szczerzy, mało elegancką formą kpiny z adwersarza, przeto w swym raptularzu wylał żółć, jaka się w nim zbierała: „*Widać tu ze wszystkiego złość i zemstę prezydenta, który znany jest ze swej podłości i dał się już we znaki wszystkim mieszkańcom Kalisza*”.

Konflikt wygasł w połowie 1905 roku. Prezydent nie osiągnął wiele, władze gubernialne nakazały mu złożyć do akt dokumenty sprawy, a ksiądz Sobczyński mógł stwierdzić z satysfakcją, że „*niesłusznie ze mną wojował*”. Wcześniej do już znanych nam epitetów dodał kolejne: „*z człowiekiem pysznym nieograniczenie, megalomanem i szubrawcem trudno przyjść do ładu*”; najbardziej wszakże rozwiniętą twórczo pod względem literackim frazą było stwierdzenie:

Tymczasem Dozór kościelny zaniedbuje swoich obowiązków i jeszcze przeszkadza robić proboszczowi to, co robić powinien i co zmierza do porządku i upiększenia kościoła. Utrzymuje Dozór, że księdzu nie wolno nawet gwoźdźcia wbić bez jego pozwolenia. Nie wolno wbić gwoźdźcia w głowę członkom Dozoru, bo i tak już mają w głowach swoich gwoźdź pychy i głupoty, ale w kościele może wbić gwoźdź, gdzie mu się podoba.

Jest w tym cały ksiądz Sobczyński! Porywczy, złośliwy, sarkastyczny i zgryźliwy, który nie zwykł ustępować pola przeciwnikowi.

Ta cecha dała znać o sobie w relacjach z kaliskimi kapłanami i ze służbą kościelną, co prowadziło niekiedy do konfuzji, sporów, bardziej lub mniej zabawnych sytuacji. Trzeba dużego samozaparcia, żeby nie śmiać się przy opisach indywiduów i ich poczynañ, z jakimi miał do czynienia proboszcz. To istna komedia ślapstickowa z początków ery filmu niemego. W największym skrócie wyglądała ona tak.

Od niepamiętnych czasów z parafią św. Mikołaja związana była rodzina Herbichów, organistów, w której „*kolacze się pomieszanie zmysłów*” (tak!). Po śmierci seniora organistą został jego syn Józef, „*na umyśle jeszcze zdrów, ale zdradza czasem objawy nienormalne, jest lekkomyślny, postrzelony i lekceważy obowiązki swoje*”. Józef toczył ciągle kłótnie „o lada bagatelkę” z zakrystianem Strzeleckim, „*w gruncie rzeczy dobrym człowiekiem, ale głupim, nieporządnym (...) Wszędzie trzeba za nim chodzić, wszystko mówić, co trzeba zrobić, sam nic nie widzi, nic nie wie, istny automat; ma tylko zmysł do pieńędzy*”. I między tymi osobnikami w kościelnej scenerii, przy dźwiękach wystrzałów, podniesionych głosów rozegrał się spór, dramat, tragikomedia o... koty, które zakrystian kupił czy też przygarnął, żeby pozbyć się szczurów.

Organista kazał mu pozbyć się kotów, ponieważ robią mu szkody, wchodzi do mieszkania i, co mogą, porywają, i szczury mu do ogródka znoszą. Gdy zakrystian nie posłuchał go, pożyczył sobie flower i urządził polowanie na koty; jednego podobno zabił, drugiego postrzelił. Zrobił się gwałt. Na to wszedł ksiądz Kokczyński, a widząc nieszczęśliwego kota, skarcił organistę i powiedział mu, że jest wariatem; kota kazał zanieść do lecznicy, ale kot po kuracji w drodze zdechł.

Anegdota sięga granic absurdu i łączy same leją się ze śmiechu. Niemniej zabawna, choć miejscami dość ponura, jest opowieść o stosunkach z kapelanem szpitala św. Trójcy. To, co budzi w niej uśmiech czytelnika, wynika z inklinacji autora do piętrzenia faktów i przykładów, które mają potwierdzać jego racje i świadczyć o właściwej ocenie delikwenta. W tym przypadku źródłem konfliktu stały się nienależne dochody kapelana, jakie czerpał ze swojej posługi, bo przecież i szpital, i kaplica znajdowały się na terenie parafii św. Mikołaja, a ksiądz kapelan Teodor

zaczął sobie powoli przywłaszczać prawa parafialne i bez wiedzy proboszcza eksportował [wyprowadzał zmarłych] na cmentarz; brał za to od interesantów po 2, 3 lub więcej rubli; wygłaszał mowy za rubla i w ten sposób ludzi kaptował dla siebie. (...) Zdarzyło się przed kilku laty, że służba szpitalna, wioząc zmarłego na cmentarz, zgubiła po drodze trumnę.

Gdyby tylko o to szło! Ale tak nie było, sytuacja stała się daleko poważniejsza, bo uciążliwa dla codziennego funkcjonowania szpitala. Chodzi o spowiedzi.

Zresztą nie bardzo ja jestem rad w ogóle, że on spowiada, bo spowiada zbyt głośno, wskutek tego chorzy w szpitalu we wspólnych salach albo tają grzechy drażliwsze, albo proszą szarytek, aby się wystarały im o innego księdza do odbycia spowiedzi. (...) Co do pogrzebów na cmentarz, nie tylko go nie prosimy o to, ale wprost zakazujemy. Więc z jakiej racji nazywa siebie trzecim wikariuszem? [parafia miała tylko dwóch wikariuszy] (...)

Habitu nie sprawia, bo ten, który nosi, sprawił przed wielu laty, nikogo nie przyjmuje u siebie i nie jest do tego obowiązany, książki żadnej nie kupi, gdy ja tymczasem, jako proboszcz muszę ponosić kosztą reprezentacji, wyprawiać odpusty, często przyjmując gości przypadkowego; książki kosztują wiele, a kupować je trzeba, bo kapłan bez książki, to studnia bez wody, utrzymanie domu pociąga za sobą wielkie wydatki. Jeżeli więc porównamy dochody i wydatki jego i moje, okaże się, że jestem daleko biedniejszy od niego.

Czy to nie przypomina nam „Monachomachii, czyli Wojny mnichów”, poematu heroikomicznego księdza biskupa Ignacego Krasickiego, z zachowaniem rzecz jasna należnych proporcji? Analogie w większej jeszcze skali nasuwają się w przypadku stosunków z parafią Dobrzec, a ściślej nieporozumień i konfliktów na tle granic między obu parafiami, które, ukształtowane historycznie, nie odpowiadały już rozwojowi miasta. Cóż z tego, że lud katolicki mieszka i tu, i tam, skoro ludzie z parafii dobrzeckiej garną się do spowiedzi w kościele św. Mikołaja, co przysparza proboszczowi i wikariuszom mnóstwa dodatkowej pracy, która była – jak czytający może się domyślać – niemal psychiczną torturą, bo „*Lud na przedmieściach, należących do Dobrca, składa się z samych szumowin. Wszystko się tu gnieździ: Ebrietas, gula, rixae, adulteria, incestus, fornicatio, furta, neces etc., tj. Pijaństwo, obżarstwo, kłótnie, cudzołóstwa, kazirodztwo, nierząd, kradzieże, zabójstwa i tak dalej*”.

To są bardzo mocne słowa, a zostały użyte do oceny ludzi, którzy znajdują się pod opieką kapłanów. Zresztą z proboszczem Dobrca żadną miarą nie dało się ułożyć dobrzych stosunków, wojna trwała od chwili przyjazdu księdza Sobczyńskiego, dochodziło

do gwałtownych niekiedy scysji z najgorszymi wyzwiskami i atakami furii. Racja jak zwykle stała zawsze po stronie proboszcza od św. Mikołaja, o czym zapewniał solennie w swoim dzienniku.

Z łamów Kraniki wyłania się bardzo ciekawy obraz życia duchowego miasta, jego obyczajów, form kultu i relacji między duchowieństwem a społecznością, prawda, że pokazany dość jednostronnie z punktu widzenia i działania jednego decydującego podmiotu. Lecz jeśli spojrzymy na całość materiału dokumentalnego, to okaże się on nieoceniony jako źródło do historii świątyni, jej kulturowego bogactwa, szaty architektonicznej, zabytków sztuki, co stało się dziełem księdza Sobczyńskiego, jego *opus magnum*.

4.

I tu doszliśmy do wniosku sformułowanego przez Agatę Walczak-Niewiadomską, która w artykule opublikowanym w *Acta Universitatis Lodzensis. Folia Librorum* 14, 2007 dokonała przeglądu zapisów we wszystkich ocalałych tomach Kroniki (księgi II, III i IV niestety nie zachowały się), z którego wyłania się postać skrupulatnego kronikarza oraz bogaty indeks tematów, zdarzeń, ludzi jakże istotnych dla historii miasta. Trudno nie zgodzić się z konkluzją autorki, że Kronika „*stanowi ważne i jeszcze nie w pełni wykorzystane źródło do dalszych badań historycznych*”.

Pierwszy tom Kroniki kończy się na burzliwym roku 1905, przełomowym na tle spokojnych dekad końca XIX wieku. Zapowiedziały go zdarzenia polityczne, jakie zanotował rok poprzedni, 1904, w którym doszło w Kaliszu do pierwszej ulicznej demonstracji robotniczej. Czegoś takiego mieszkańcy nie widzieli i nie przeżywali, to było nowe zjawisko w życiu zbiorowym: wielka polityka weszła szeroko na ulice miasta, pojawiły się partie masowe, lewicowe i prawicowe, ścierając się w walce o zwolenników. Jego następcą, rok 1905, nie bez istotnych przyczyn nosił nazwę roku rewolucyjnego. Jeśli nawet z dzisiejszej perspektywy uznamy to określenie za przesadzone, to jednak nie będzie nadużyciem, gdy przyznamy, że w imperium rosyjskim wywołał istne trzęsienie polityczne i przyniósł ogromne zmiany ustrojowe, z powołaniem parlamentu (Dumy) i wyborami na czele. Objęły one oczywiście i Królestwo Polskie.

Relacje i opisy proboszcza Sobczyńskiego zamieszczone w pierwszej księdze Kroniki wnoszą do dotychczasowej narracji historycznej, pozostającej pod wpływem źródeł i literatury lewicowej, silny powiew świeżości, nawet po ponad stu latach. I nie chodzi tu tylko o odmienność światopoglądową autora, choć oczywiście i ona ma swoje znaczenie. Ow powiew wiał się z relacji bezpośredniego świadka i uczestnika wydarzeń, który – jak inni uczestnicy – po raz pierwszy zetknął się z buntem mas, wyrażanym w formie strajków, wieców, demonstracji i manifestacji. Czego dotyczyły wystąpienia i czego żądali uczestnicy? Wszystkiego, można powiedzieć. Domagali się Polski!

Bezrobocia [strajki] urządzane w całej Rosji odbyły się i u nas, podkład ich jest socjalistyczny z zabarwieniem patriotycznym. Socjaliści przeprowadzają swoje idee, a z nimi łączą się patrioci. Za przykładem Warszawy poszły miasta większe Królestwa, a zwłaszcza fabryczne. W Kaliszu ruch ten rozpoczął się 1 lutego przed południem. Jak spod ziemi wyrosły tłumy demonstrantów, spiesząc na plac św. Józefa i przed gubernię. Kilkunastu ludzi (...) udalo się przed Gimnazjum Filologiczne. Uderzyli w dzwonek na dziedzińcu i poczęli wybijać szyby w gmachu gimnazjalnym od strony rzeki. Dyrektor natychmiast

rozpuścił uczniów, bo tego się domagali demonstranci. (...) Stamtąd uczniowie przyłączywszy się do robotników, udali się przed gubernię, krzycząc i hałasując. Policmajster uspokajał ich, ale to nie pomagało. Wyszedł p. gubernator [Nowosilcow] i zapytywał, czego chcą; jeden z nich odpowiedział: „Polski!”. Rozumie się p. gubernator tego nie mógł przyrzec i nie przyrzekł.

O ile za żądaniami płacowymi i innymi związanymi z położeniem ekonomicznym ludności stały ugrupowania socjalistyczne, to wybuch, a nade wszystko rozmiar, gwałtowność i radykalizm strajków szkolnych był zaskoczeniem dla mieszkańców miasta i dla władz rosyjskich. Ekspansywność młodzieży, jej obecność we wszystkich niemal miejscach zdarzeń i rozruchów kazały księdzu sformułować księdzu Sobczyńskiemu zdanie, że są oni głównymi sprawcami rozruchów.

Ten aspekt wydarzeń kaliskich jest niezwykle intrygujący: to młode pokolenie postanowiło skruszyć skorupę odrętwienia i marazmu niczym Konrad z „Wyzwolenia” Wyspiańskiego, przejść do czynu, podjąc walkę o Polskę prawdziwą, a nie tylko zanurzoną w strofach poetyckich i modlitwach, uśpioną i skostniałą. To był bunt młodego pokolenia, które odrzucało treści i formy życia, jakie im oferowali ojcowie. Co ciekawe, bunt obrócił się także przeciwko Kościołowi, personalnie przeciwko biskupowi, Pasterzowi, jak zwykł nazywać go autor Kroniki:

...przeciwko niemu niesłuszne jest oburzenie w mieście, że jest ugodowcem i rządowcem, co jest wierutnym kłamstwem, bo nic takiego nie zrobił, co by było przeciwne patriotyzmowi. Młodzi księża przekładają politykę nad sprawy religii i Kościoła i gotowi są przeniemierzyć się kapłańskim obowiązkom nawet dla czczych mrzonek. Dlatego wobec świeckich krytykują ks. biskupa i jego rozporządzenia, zapominając o tym, że cała nasza polityka zawiera się w katechizmie i że kapłan najlepiej zasługuje się ojczyźnie, gdy gorliwie wypełnia obowiązki swoje [...]

Bunt młodego pokolenia ujawnił się *sub specie*, pod postacią pieśni patriotycznych, ale także, choć w mniejszym stopniu, religijnych i rewolucyjnych. To one miały wyrażać ducha i atmosferę przełomu, były jedynym wówczas orężem w dyspozycji bezbronnego tłumu. Wszędzie tam, gdzie gromadziły się rzesze ludzi – w kościołach, na placach i ulicach, cmentarzach, salach i teatrze – słychać było pieśni, przede wszystkim hymn „Boże coś Polskę”, powszechnie znany jako i religijny, i patriotyczny, który od 1862 roku, od wystąpień poprzedzających wybuch powstania styczniowego, był zakazany w zaborze rosyjskim, głównie ze względu na jeden wers: „Ojczyznę wolną racz nam zwrócić Panie!”. Co dziwne, bo niezgodne z przypisanym mu znaczeniem modlitwy za ojczyznę, a zatem patriotycznego wyznania wiary, nie była ona akceptowana przez znaczną część duchowieństwa, a przynajmniej była zabraniana w ramach liturgii, co otwarcie zaświadcza ksiądz Sobczyński.

Sposób wykorzystania hymnu przez młodzież nie zawsze był zaprogramowany; niekiedy pieśń wyrwała się spontanicznie z ust uczestników zgromadzeń jako forma protestu, ostateczna odpowiedź na zachowanie czy słowa przeciwników. Dla tych ostatnich było to wysoce dokuczliwe, o czym świadczą odnotowane w Kronice przypadki, gdy stawał się ripostą. Trzeba w tym miejscu oddać głos pasterzowi parafii św. Mikołaja:

W moim kościele po majowym nabożeństwie dotąd codziennie śpiewają ludzie „Boże coś Polskę”. Jednego dnia ktoś z młodzieży zaintonował: „Z dymem pożarów”, ale ks. Lniski wyskoczył z konfesjonalu i zabronił im tego śpiewać. Zaintonowali więc „Boże coś Polskę”. Od kilkunastu dni śpiewają tę pieśń i u franciszkanów po majowym nabożeństwie. Jest tutaj zwyczaj, że co rok ludzie zbierają się wieczorem na cmentarzu mojego kościoła przed figurą św. Jana Nepomucena i przez całą oktawę od 16-23 maja śpiewają pieśni pobożne. To samo jest przed kościołem franciszkańskim. W tym roku według zwyczaju zaczęli również tu i tam śpiewać. Zaraz przyszła młodzież i przerwała im śpiew, zaintonowawszy „Boże coś Polskę” i „Boże Ojczy Twoje dzieci”. (...) Demonstranci urządzali się w ten sposób, że o 9 śpiewali przed franciszkańskim kościołem, a o pół do jedenastej wieczorem przychodzili tutaj i znowu to samo śpiewali, następnie wychodzili na ulice i tam śpiewali „Czerwony Sztandar”, po czym było słychać wystrzały na wiat. Policja nie przeszkadzała.

Postawy antyklerykalne, jak widać z powyższego cytatu, nie były rzadkie, przeciwnie, przeważał dość powszechnie wyrażany pogląd, że Kościół nie wspiera protestujących i występujących przeciwko władzy. Pojawiła się wzajemna niechęć, animozje, utrata autorytetu duchowieństwa. Śpiewy tłumów stały się uciążliwe nie tylko dla władz rządowych, lecz i kościelnych, stały się problemem politycznym i publicznym, o czym świadczyło wezwanie przez wicegubernatora Piltza przełożonych kościołów franciszkańskiego i św. Mikołaja. Wicegubernator

radził się, co by zrobić z tymi śpiewami, jak im zapobiec. Wytłumaczyliśmy mu, że nie mamy żadnego na to środka, że pomimo naszych przemówień śpiewy nie ustają. (...) Oświadczył, że policji i wojska nie chce używać, bo by go posądzili o tyranję. Obiecaliśmy mu, że będziemy się wpływać na lud, aby zaprzestał śpiewów, wiedzieliśmy jednak z góry, że nic nie wskóramy.

Działo się to wszystko w maju, a przez następne miesiące utrzymywał się w mieście stan napięcia, choć obydło się bez rozruchów. W sierpniu generał-gubernatorem warszawskim został Gieorgij Skalon, zwolennik silnej ręki i twardego postępowania wobec uczestników antyrządowych wystąpień. W październiku nastąpiła kolejna fala masowych manifestacji. Protestujący sięgnęli kolejny raz po broń pieśni narodowych. Tym razem generał-gubernator zareagował zdecydowanie, przesyłając biskupowi wrocławsko-kalińskiemu pismo, w którym zagroził, „że jeżeli władza duchowna okaże się bezsilna wobec śpiewów rewolucyjnych i nie wpłynie na zaprzestanie ich, wtedy on każe kościoły zamykać”. Ksiądz Sobczyński z dużą pewnością siebie skomentował te słowa, że „są to strachy na Lachy”. W istocie tak też było, zwłaszcza po manifestacie cara Mikołaja II z końca października, w którym pojawiła się zapowiedź zasadniczych zmian ustrojowych (nadanie Rosji konstytucji), utworzenia parlamentu, przeprowadzenie wyborów, przyznanie ludności praw obywatelskich. To jeszcze bardziej ośmieliło zwolenników reform i rewolucyjnych zmian w państwie carów, a mieszkańcy Warszawy i wielu innych miast Królestwa Polskiego wyszli na ulice, by wyrazić radość z manifestu, co było równoznaczne ze zwycięstwem. To była iluzja wolności, bowiem następnego dnia, 1 listopada, na placu Teatralnym została brutalnie rozpędzona demonstracja (zabitych zostało kilkadziesiąt osób).

Strajki, wiece i manifestacje, jakie trwały w Kaliszu każdego dnia na przełomie października i listopada, a były one niezmiernie intensywne i emocjonalne, postawiły księdza Sobczyńskiego w niezwykle trudnym położeniu wyboru drogi postępowania: czy kapłan ma być lojalny wobec przełożonego i przepisów kościelnych, czy też powinien brać pod rozwagę głos wiernych, niekoniecznie zgodny z tym, co mówi Kościół. W czasie uroczystości święta zmarłych doszło do znamiennej wymiany zdań między grupą wiernych a proboszczem na temat powinności i obowiązków kapłana w sytuacji konfliktu społecznego i konfliktu sumienia. Jak zwykle zachowawczy, ostrożny i dość dogmatyczny ksiądz Sobczyński, odmówiwszy wcześniej poświęcenia w kościele czerwonego sztandaru z Matką Boską Częstochowską z jednej i orłem polskim z drugiej strony, powiedział drugiej stronie:

Nadmieniłem im, że „Boże coś Polskę” mogą i pięćdziesiąt razy śpiewać dziennie w kościele, ale w czasie mszy św. śpiewanej, jak to miało miejsce na sumie, nie wolno. (...) W ogóle, powiedziałem, nie mogę pozwolić na to, co nie jest właściwe. Otrzymałem w odpowiedzi: „W takich chwilach, jak obecne, trzeba uwzględnić i niewłaściwości, zwłaszcza że tłumy tego się domagają”. Na to odrzekłem, że nie tłumy mądrymi, ale mądrzy tłumami powinni rządzić, bo gdzie tłumy rządzą, tam wolność przeradza się w swawolę. (...) Ale nie bardzo to trafiło do przekonania tych pań.

Z tego fragmentu wynika coś więcej niż tylko różnica zdań między dwiema stronami; jest w nim zapowiedź stopniowego zyskiwania podmiotowości przez szerokie kręgi społeczne z jednoczesną utratą decydującej pozycji przez duchowieństwo katolickie. To była wyczerpująca lekcja dyskursu politycznego, opartego już na nowych zasadach. W tych dniach doszła do głosu jeszcze jedna siła polityczna – narodowa demokracja. Pierwszy wiec tego ugrupowania w Kaliszu zgromadził tłumy w kościele św. Mikołaja, a „pod koniec nabożeństwa na ulicy Kanonickiej roilo się od ludzi”. Wieczorem wyruszył orszak z kościoła, a „ponad tłumami powiewał sztandar czerwony z Matką Boską Częstochowską i z Orłem polskim”, czyli ten sam, który dzień wcześniej był przedmiotem sporu i którego wzbraniał się poświęcić ksiądz proboszcz. W procesji wszyscy szli z odkrytymi głowami, śpiewając „Boże coś Polskę”. Hymn ten jeszcze kilka razy zagościł na ustach zgromadzonych w ciągu wieczoru. Warto dodać, że to wydarzenie stało się początkiem kariery politycznej adwokata Alfonsa Parczewskiego, który przemawiał jako pierwszy i mówił o znaczeniu zapowiadanej w manifestacie carskim konstytucji, oraz jako ostatni mówca zakończył wiec. Rok później zostanie posłem do Dumy z ramienia Stronnictwa Narodowo-Demokratycznego. Ksiądz Sobczyński z satysfakcją zanotował: „*Tak się zakończył ten dzień pamiętny na zawsze*”. Ale to nie była pointa wiecu, ta przyszła po dwóch dniach:

Słyszę dzisiaj, że niektórym osobom z naszej inteligencji nie podobał się klerikalny charakter wiecu. Dziwna rzecz! Panów tych razi barwa szaty kapelańskiej i wprawia ich we wściekłość, podobnie jak w Hiszpanii czerwona chorągiewka byki wprawia w rozjuszenie. (...) Panowie ci mają utworzyć nowe postępowe (czytaj: nieklerikalne) stronnictwo. Zwróciłem uwagę (...) na to, że zamiast tworzenia nowych stronnictw, należałoby trwać przy naszym narodowo demokratycznym stronnictwie i wzajemnie się porozumiewać i kierować nim w duchu religijno-narodowych uczuć, modyfikować to i owo, co uznają za niewłaściwe.

Gorliwość, z jaką staje wielebny w obronie endecji jako jedynej, właściwego dla Polaków ugrupowania politycznego, daje dużo do myślenia. Wcześniej nie przedstawiał swoich sympatii, teraz w czasie politycznego przełomu uznał za stosowne ujawnić je z całą otwartością. Dostało się przy tej okazji inteligencji kaliskiej oraz w tym samym wpisie Żydom. Nie, nie chodzi o żaden antysemityzm, skądże, „*my Żydów, jako Żydów i bliźnich kochamy, ale nie możemy tolerować nadużyć*”. Bo przecież Żydzi są przeciw Kościołowi, wierze, religii, demoralizują młodzież obojga płci, sieją zgorszenie; wiadomo powszechnie, że Żydzi „*to istna zaraza, cholera, od której każdy uciekać powinien...*”. Antysemityzm, tu jeszcze nie nazwany tym słowem, stanie się przekleństwem dla Polaków w latach międzywojennych, w Kronice widzimy jego narodziny.

5.

Wprowadzenie stanu wojennego na terenie całego Królestwa Polskiego przyjęte zostało przez autora Kroniki z ulgą: „*W mieście panuje cisza i spokój. Stan ma tę dobrą stronę, że socjaliści muszą siedzieć cicho i wstrzymać się od jawnych, publicznych awantur*”. Obietnice złożone polskim duchownym przez gubernatora wojennego zapowiadały nowe, lepsze warunki życia, z których „*będziemy zadowoleni*” w zamian za to, że będą wpływali uspokajająco na lud. Wysoka to cena czy niska, nawet skrajnie niska?

Stan wojenny trwał do 2 grudnia (od 10 listopada); dla księdza Sobczyńskiego był to czas wytchnienia od wielkiej i wyczerpującej polityki, który poświęcił sprawom społecznym, niesieniu pomocy ubogim, zagadnieniom szkolnym. Zapisy w Kronice kończą się 24 listopada 1905 roku. W tym dniu dokonał ostatniego wpisu, jakże zabawnego, poświęconego trzem niezmordowanym aktywistkom i społecznikom, z których dwie były siostrami (Emilia Bohowicz i Maria Gałczyńska), sportretowanymi w „*Nocach i dniach*” przez Marię Dąbrowską pod postaciami Michaliny Ostrzeńskiej i Stefanii Holszańkiej:

Nieporozumienia pomiędzy paniami z komitetu i opiekunkami nie tylko nie ustały, ale owszem zaogniły się. Przedwczoraj po południu na dole w kancelarii przyszło do scen drażliwych. Głównym przedmiotem pocisków jest pani Bohowicz, Gałczyńska i Wolfowa. (...) Pani Bohowicz jest kobietą bardzo ruchliwą i czynną, pełną pomysłów i inicjatywy, ale prędką, gorącą i arbitralną, działa bez planu i porządku, a wsparcia daje bez należytego sprawdzenia i zbadania; zarzucają jej, że schlebia swym protegowanym. Pani Gałczyńska, siostra jej rodzona, takiego samego jest usposobienia i pokroju. Pani Wolf energiczna, ale ostra i opryskliwa. (...) Każda z pań chce być pierwsza, każda rządzić. (...)

Moje położenie jest najfatalniejsze, bo każda chce, abym jej przyznał rację, a czasem żadna nie ma racji. Chcąc jednej dogodzić, trzeba drugą i siebie obrazić. A biada, gdy się ma którąkolwiek przeciwko sobie. Gdyby mnie kobiety obrały na króla swojego, nie przyjąłbym korony za żadne pieniądze, bo byłaby to korona cierniowa.

Trzeba księdza Sobczyńskiego, by przywrócić wielu sprawom i ludziom właściwe proporcje, a właściwie jego nieocenionego pióra. Możemy tylko żałować, że nie jest nam dane spojrzeć na następne lata z tej perspektywy, kolejny tom otwiera się bowiem z rokiem 1919. To wielka, nieodżałowana strata dla historii Kalisza, dla wszystkich, którzy cenią dobrą literaturę i niezależne spojrzenie autora. Na przykładzie tomu pierwszego widać, jaką szkodę ponieśliśmy.

Ryszard Bieniecki